

KRZYSZTOF ŁAZIUK

Sokołda, miejsce powstańczych potyczek¹

Pamięć Powstania Listopadowego... Gdzieś nam się zagubiła na zakrętach historii. Jakże wiele wydarzyło się od tego czasu... Inne, ważne, najczęściej również tragiczne wydarzenia pokryły je kurzem niepamięci. Do tego stopnia zatarła się prawda o roku 1831, że zasługi żołnierzy listopadowych często przypisywano późniejszemu Powstaniu Styczniowemu. Ogromny, bohaterski zryw i, co bardzo ważne: samodzielny i bliski sukcesu, nie może pozostawać na drugim planie historycznej pamięci narodu. Oddanie sprawiedliwości i honoru bohaterom tych wydarzeń, mimo upływu blisko dwóch stuleci, to nasz moralny obowiązek.

W lipcowy niedzielny poranek 1831 roku do odległego nie więcej niż 20 kilometrów od Supraśla Szudziałowa wkroczył oddział pułkownika Józefa Zaliwskiego. Po procesji i mszy w kościele tutejsi młodzi ludzie ustawili się na proboszczowskim dziedzińcu w kolejce ochotników do zapisu. Po czterech dniach już nie żyli. Część z nich znalazło grób w bezimiennym dole, pod

¹ Poniższy tekst stanowi kontynuację i rozwinięcie zamieszczonego w Acta Collegia Suprasliensis, t. XII (*Małe Miasta. Zabytki*, Lublin-Supraśl 2009) artykułu *Zapomniana bitwa pod Sokołdą*. Uwzględniono w nim przedsięwzięcia i odkrycia poczynione w ostatnich trzech latach. Całość rekonstruuje obecny stan wiedzy dot. epizodów XIX-wiecznych powstań, zaznaczonych na obszarze pomiędzy wsią Sokołdą a Kopną Górą. Jestem pewien, że wciąż nie jest to stan ostateczny.

Kopną Górą, inni w kajdanach poszli na Syberię lub błakali się po lasach wokół Sokołdy, nie wiedząc, co z sobą począć. Zadbanie o pamięć oraz prawdziwe, chrześcijańskie i zgodne z naszą tradycją miejsce ostatniego spoczynku Listopadowych Bohaterów to minimum, a zarazem wszystko, co dziś możemy dla nich uczynić.

Minęły już cztery lata, odkąd Stowarzyszenie *Collegium Suprasliense* wraz z Nadleśnictwem Supraśl podjęło w 2007 r. próby odnalezienia mogiły oraz godnego upamiętnienia żołnierzy Powstania Listopadowego, pochowanych pod Kopną Górą. Odtworzenie zapomnianych przez lokalną społeczność wydarzeń, znanych (może tylko hasłowo) nielicznym historykom, i przywrócenie pamięci o nich stało się dla nas wielkim zadaniem.

O całkowitym zapomnieniu świadczy fakt, że znajdujące się obok pola bitwy arboretum w Kopnej Górze nazwano imieniem „Powstańców 1863 roku”. Podczas jego zakładania w 1988 r. wiedziano o historycznej bitwie stoczonej tuż obok, jednak, jak się okazało, od dawna przypisywano ją mylnie czasom późniejszym. Jeszcze przed ostatnią wojną leśnicy sokólskiego leśnictwa ufundowali pod Kopną Górą pomnik poświęcony powstańcom 1863 r. Powstanie Styczniowe było przypuszczalnie tak traumatycznym przeżyciem, że w świadomości mieszkańców przykryło wspomnienie wcześniejszych o lat trzydzieści wydarzeń – śmiały rajd oddziału pułkownika Zaliwskiego przez terytorium wroga dość szybko zniknął w społecznej niepamięci.

Dzisiaj możemy przypuszczać, że stało się tak nie tylko z powyższego powodu. Zapewne dzieje tego skrawka łąk u podnóża Kopnej Góry są znacznie bardziej zagmatwane niż to się wydawało najpierw przedwojennym fundatorom pomnika, a później odkrywcom i weryfikatorom nieznannej historii, która to rola przypadła zrządzeniem Opatrzności nam. Innej bitwy o skali wydarzeń z 1831 r. pod Kopną Górą niemal na pewno nie było, wiele jednak wskazuje na to, że ofiara powstańców 1863 r., aczkolwiek pozbawiona konkretnych danych, jakby „zmitologizowana”, także pozostawiła w pamięci ludzi wyraźny, nasycony niemal dokumentalną dramaturgią, ślad.

Bitwa pod Sokołdą – nowe odkrycia, nowe ustalenia

Pierwszą i najważniejszą inspiracją do poszukiwań stało się przypadkowe odnalezienie przez Radosława Dobrowolskiego, ówczesnego prezesa *Collegium Suprasliense*, obecnie burmistrza Supraśla, zapisu w księdze zmarłych parafii w Szudziałowie. Został on dokonany przez ówczesnego jej proboszcza, księdza Andruszkiewicza. Uporządkowany, powszechnie przyjęty i usankcjonowany zwyczajowo aż dotąd opis wydarzeń historycznych pod Sokołdą – nagle runął. Oto treść wpisu księdza w parafialnej księdze zmarłych, pod datą „1831”:

„Roku Pańskiego tysięcznego osiemsetnego trzydziestego pierwszego miesiąca czerwca dwudziestego piątego dnia rano we wsi Sokółdzie wojsko polskie w przechodzie na spoczynku rozłokowane, napadnięte przez wojsko rosyjskie, w części pobite, w części potopione w rzece Sokółdzie. Wojsko polskie pobite, grzebanem było bez żadnej zwłoki zaraz w różnych miejscach wsi Sokółdy przez żołdatów wojska rosyjskiego. Jednemu tylko żołnierzowi polskiemu ciężko ranionemu uprosiłem pozwolenia dać ostatnią absolucyją i namaszczenie Oleju Świętego jako przypadkowie iadący do chorego i tamże w Sokółdzie zachwycony. Potopieni żołnierze w liczbie pięćdziesiąt sześciu pochowani zostali w innej mogile na tej stronie rzeki przed groblą do rzeki, idąc po prawej stronie pod górą. Niech odpoczywają w pokoju.

ksiądz Andruszkiewicz”

„Przed groblą, pod górą, po prawej stronie” – tylko tyle było wiadomo o miejscu pochówku poległych. To wiele, a równocześnie zbyt mało, by choć w przybliżeniu wskazać: „To tu!” Pierwszym krokiem na długiej drodze poszukiwań było sprowadzenie z Poznania specjalistów posługujących się georadarem. Ten sprzęt miał wskazać miejsca, w których kiedykolwiek dokonano przemieszczeń gruntu, wkopów. Niestety, okazało się, że wytypowany obszar nosi liczne ślady ludzkiej działalności, zarówno wykonywanych tu wcześniej prac ziemnych, jak i zaśmiecenia terenu metalowymi przedmiotami, które zakłócały pracę urządzenia.

Niemniej jego wskazania pozwoliły na wstępne wytypowanie miejsc do dalszych poszukiwań.

Z braku jednoznacznych wskazań przystąpiliśmy po kilku miesiącach do kolejnego etapu poszukiwań. Polegał on na pobieraniu z określonego terenu próbek gleby do głębokości 1,5m. Ich ocena pod kątem śladów przemieszania różnych warstw ziemi już wstępnie, na miejscu, pozwalała weryfikować wskazania georadaru. Istotniejsze były jednak laboratoryjne badania próbek pochodzących z kilkudziesięciu odwiertów na zawartość związków fosforu. Wszędzie bowiem tam, gdzie rozkłada się materia organiczna, zachowuje się, nawet przez stulecia, wysokie stężenie tego pierwiastka. To badanie pozwoliło zweryfikować wcześniejsze typowania. Pozostały już tylko dwa miejsca, choć wcale nie było pewności, czy mogła nie znaleźć się poza pierwotnie określonym obszarem poszukiwań. Wyznaczono go odczytując tylko i interpretując w każdy możliwy sposób lakoniczną notatkę księdza oraz analizując, na podstawie wątych przesłanek, dawną konfigurację terenu i przebieg tutejszych dróg. Teoretycznie, równie dobrze mogła mogła znaleźć się o pięćdziesiąt metrów w bok od miejsca naszych poszukiwań albo pod biegnącą obok szosą.

Przyszedł moment bezpośredniego zweryfikowania wcześniejszych, pośrednich metod badań. Wykonanie wkopów sondażowych miało dać odpowiedź na pytanie: – Klęska czy sukces? Odnaleźliśmy mogiłę czy też trzeba zacząć od początku?

Prace podjęte w grudniu 2009 r. toczyły się równolegle w dwóch wykopach. Jeden z nich, który zdawał się lepiej rokować, dość szybko rozwiął nadzieje: po dojściu do litej warstwy podłoża trzeba było zaniechać kopania. Tymczasem drugi wykop zaczął odsłaniać tajemnicę – ukazały się ludzkie szczątki. Choć i tutaj na pewien czas zapanowało zwątpienie: pierwszy odsłonięty szkielet był pojedynczy, a jego ręce były złożone! To nie to miejsce, to zwykły grób! Jednak wkrótce z piasku zaczęła się wyłaniać szokująca prawda: człowiek ten został złożony na szczątkach swych towarzyszy. Na światło dzienne wydobywano kolejne warstwy wrzuconych do dołu ludzkich ciał. Żołnierz odnaleziony jako pierwszy mógł być poległym odnalezionym później lub

ciężko rannym, zmarłym po pewnym czasie. Chłopi z Sokołdy rozkopawszy świeżą jeszcze mogiłę, najpewniej pochowali go razem z towarzyszami broni. Stąd może wynikać inny, przejawiający się większym szacunkiem sposób ułożenia zwłok. W niewielkim wykopie sondażowym mierzącym 1x1,5m doliczyliśmy się 10 szkieletów. Mieliśmy już pewność: to była od dawna poszukiwana mogiła. Wykop został ponownie zasypany i rozpoczęły się przygotowania do jego całościowego otwarcia, zbadania i ekshumacji.

Ta nastąpiła w październiku 2010 r. Systematycznie, powoli i ostrożnie, pod nadzorem i z pomocą archeologa, odsłanialiśmy kolejne fragmenty wstrząsającej układanki. Spod miotełek i szpachelek wyłaniały się kolejne fragmenty czaszek, kości rąk, nóg... W miarę postępu prac obraz zaczęli wypełniać rozróżnialni już wyraźnie ludzie. Można już było bez trudu dostrzec, jakie pozycje przyjmowały ich ciała po brutalnym wrzuceniu do dołu.

Ten dół śmierci stał się swoistą kapsułą czasu, w której na niemal dwa stulecia zastygły historyczne wydarzenia. Intuicyjnie wyczuwali to chyba też ludzie przejeżdżający obok wykopu, którzy licznie zatrzymywali się, by w skupieniu spojrzeć w głąb mogiły, podzielić się odczuciami, niekiedy opowiedzieć o nawiązujących do epoki narodowych powstań rodzinnych przekazach. Ów spontaniczny i naturalny odbiór znaczenia naszej pracy upewniał nas, że istnieje społeczna potrzeba takich działań.

W miarę doczyszczania dna wykopu stawały się zauważalne obrażenia: otwory po kulach, rany cięte czy też te jeszcze straszniejsze, które wyglądały jak zadane po to, by rannego dobić. Więcej szczegółów poznaliśmy później, dzięki pracy antropologa. Po odstonięciu wykopu na całej powierzchni szczątki kolejnych żołnierzy sukcesywnie były wydobywane i zabierane do miejsca tymczasowego przechowania. Prace trwały przez październik 2010 r.

W mogile znaleźliśmy bardzo mało, jak na liczbę pochowanych, przedmiotów: kilka skorodowanych guzików, nieco strzępków mundurów, cztery kule, co przed stu osiemdziesięciu laty utkwiły w ciałach powstańców. Szczegółne wzruszenie budzą

dwie miedziane obrączki wciąż tkwiące na paliczkach palców. Były zbyt „biedne”, by skusić zgarniających łup zwycięzców...? I jeszcze jeden, najbardziej działający na wyobraźnię historyczny zabytek: skromny srebrny pierścionek z rubinowym oczkiem, przeoczony przez Rosjan. To zapewne bardzo osobisty przedmiot. Może żołnierz wioził go jako prezent zaręczynowy? A może otrzymał od dziewczyny, idąc na boje? Dla mnie ten zabytek ma jeszcze jeden, metafizyczny niemal wymiar: maleńkie oczko, oddzielone od wcześniej znalezionej przy szczątkach, zdekompletowanego pierścionka, odnalazłem o zmierzchu, podczas samotnego zasypywania ogromnymi hałdami piasku pustej już mogiły. Opatrznościowy zbieg okoliczności? A może z zaświatów pomoc żołnierza, do którego pierścionek należał? W takiej sytuacji dochodzą do głosu zgoła nienaukowe hipotezy...

Kolejnym niezwykłym wydarzeniem związanym z opisywanym pierścionkiem jest znalezisko kolegów z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego (których zachowamy we wdzięcznej pamięci za ich piękny gest przyjazdu w grudniu 2010 r. na tymczasowy pogrzeb „naszych” powstańców), próbujących przywrócić społecznej pamięci i pamięci narodowej jedną z największych bitew tej epoki: bitwę pod Olszynką Grochowską. Eksplorując teren bitwy odnaleźli niemal bliźniaczy pierścionek. Różnicę stanowiło zastosowanie miedzi zamiast srebra oraz znacznie mniejsze oczko, zapewne zwykłe „szkiełko”. Dwa niemal identyczne, zupełnie przypadkowe znaleziska – stąd można wysnuć wniosek, że pierścionki te były wykonane według najprostszego, najtańszego i najbardziej rozpowszechnionego wzoru. Zupełnie to nie pasuje do szkolnego przekazu, pamiętanego z młodych lat, o elitarnym, szlacheckim charakterze zrywu 1831 r.

Koledzy z Warszawy przekazali pierścionek do naszej ekspozycji historycznej w Kopnej Górze. Należą im się wyrazy wielkiej wdzięczności i uznania za działanie w duchu poczucia wspólnej sprawy – przywrócenia i zachowania pamięci o Powstaniu Listopadowym.

I jeszcze inna zagadkowa „pamiątka”: podczas odkopywania grobu odnaleźliśmy znaczną ilość żelaznych, kutych gwoździ,

a także resztki węgla drzewnego. Wyobraźnia podpowiada, jak mogły tu się znaleźć: Rosjanie rozebrali jakąś pobliską szopę na łące lub płot oddzielający ją od lasu i gotowali śniadanie (bitwa rozegrała się nad ranem) na skraju mogiły. Później, zasypując mogiłę, resztki ogniska wraz z gwoźdźmi zgarnięto z piachem do dołu. I tak te dokumentalne ślady przetrwały w ziemi przez sto osiemdziesiąt lat...

*

W publikacji z 2009 r. zostały opisane wydarzenia poprzedzające bitwę pod Sokołdą, które ostatecznie do niej doprowadziły. Obecnie nowe elementy wzbogacają znaną już historię.

Okazało się, że kilka dni przed bitwą, 21 czerwca (3 lipca według polskiego kalendarza) oddział pułkownika Zaliwskiego wszedł do Szudziałowa. Nieoceniony ksiądz Andruszkiewicz, proboszcz tamtejszej parafii, opisał to wydarzenie w raporcie przesłanym do Sądu Ziemińskiego w Sokółce oraz do swojego zwierzchnika, dziekana sokólskiego, ks. Szyszko. By właściwie odczytać zarówno treść, jak i intencje piszącego, nie należy pomijać ówczesnych okoliczności: panującej już na naszych ziemiach atmosfery strachu; represji spadających na osoby sprzyjające powstaniu; niezbędnego, by ocaleć samemu, naświetlenia zdarzenia przez katolickiego kapłana, całą duszą sprzyjającego powstańcom – słowem, komunikat wymaga swego rodzaju „odkodowania”, „odszyfrowania”:

„Na dniu dzisiejszym w czasie Uroczystości obchodzącej się rocznie w Szudziałowskim Kościele, gdy lud zebrał się z różnych stron, trafił się wypadek niepraktykowany; przy zaczynaniu się procesji z Najśw. Sakramentem otoczony zostałem wojeńskimi ludźmi uzbroionymi. Przestрах i zdziwienie moje ukończyły się, iż słysząc komenderówkę w tym samym języku, w jakim to piszę, domyślać się wypadało, iż chcą assistować Wszechmocnemu w Sakramencie ukrytemu. Po skończonej processji i odejściu moim z Ołtarza do Zakrystyi, powitali mię Katolickim sposobem, a razem oświadczyli, iż nie w innym zamiarze przybyli: nayprzód, aby dopełnili cześć należ-

ną Bogu, po wtóre Naczelnik tych żołnierzy oświadczył, iż przybył z Warszawy walczyć za Wiarę, Ojczyznę y wolność, abym im broń, którą przy sobie mieli obrzędem swoim pobłogosławił; Odmówiłem im tego w dobry sposób: lecz wpadłszy do kościoła przemówił do ludu podając w dobitnych wyrazach powód swego przybycia, mnie zaś rozkazał, iż jeżelibym nie dopełnił czego sobie życzą – złe następstwo wyniknie; dopełnić musiałem wiedząc, że żaden Akt Religijny z przestrachu, przymusu, a wreszcie z nakazu dopełniony, nie ma waloru, a iak zawsze Bóg w dobrej sprawie błogosławi zwyciężkiemu Orężowi Rossyjskiemu, tak i teraz nieodmówi pomyślnego końca; azatem i ten słaby oręż, którego w rozkrzyżowanych rękach swoich trzymali ciż buntownicy wołając ciągle w głos do Boga, <aby dopomógł w ich sprawie>, nie odniesie zapewne pożądanego skutku. Po tym obrzędzie wszyscy ci padli krzyżem na ziemię z orężem w rękę i mnie toż samo kazali dopełnić; później wstawszy, którego nazywano Kapitanem zalecił sam w głos do ludu, aby ten modlił się za dusze poległych Polaków; po skończonych trzech Zdrowaś Marya!, nie więcej, i tyleż „wieczne odpocznienie”, którego lud, lękając się zapewne morderstwa iakiego, przestraszony pomagał, pospieszyłem do Zakrystyi, taż eskorta prowadziła mnie do Plebanyi, która otoczywszy Plebanią, ieden ten Kapitan wszedł do Plebanyi rozkazał dać Kałamarza, pióra i Papieru, z resztą usiłowałem uwolnić się od tey daniny, lecz pióra i papier na stole moim sam znalazł i wziął, a po Kałamarz posłał i przyniesiono. Na dziedzińcu więc Plebańskim zapisywał imiona i nazwiska ochotników lecz że się nie znajdowałem tam przy nich, niewiem kto się zapisywał lub poszedł. Z resztą, nic nie rabowali, ani krzywdy inney dopełnili, tylko kazali dać nie wielką ilość wódki, kilka flaszek, dwa paczki tytoniu do palenia, funt lub więcej tabaki do zażywania, chustkę do nosa i librę papieru. Od udzielenia obiadu wymówiłem się, iako na moją iedną osobę gotowanego, a to aby ich głodem przymorzyć, za co z pogroźkami, konno i piechotą w niemałej liczbie wyruszyli w dalszą drogę przez wieś Szudziałowo.

Dan w Szudziałowie Roku 1831 d. 21 Junij. X. Andruszkiewicz”

Raport nie podaje szczegółów pomocnych w bezspornym zidentyfikowaniu oddziału, który trafił do szudziałowskiego kościoła. Jednak niemal wszystko wskazuje na to, że to był „nasz” oddział – żołnierze pułkownika Zaliwskiego. Ze źródeł historycz-

nych wiemy o dwóch ugrupowaniach powstańczych działających w tamtym okresie na terenie Puszczy Knyszyńskiej. Jednym z nich był oddział kapitana Żylińskiego, który przeszedł tu z Puszczy Białowieskiej. To jego lekarz, dr Szczapiński, pozostawił pamiętnik, w którym opisuje spotkanie z grupą żołnierzy Zaliwskiego w dwa tygodnie po bitwie. Czytając opis księdza Andruszkiewicza można w pierwszej chwili domniemywać, że chodzi właśnie o ten oddział. Najważniejszym argumentem przemawiającym za tym jest wzmianka mówiąca, że dowódcę (?) nazywano kapitanem. Niestety, sam Szczapiński nie ukazuje w swoich wspomnieniach przesłanek pomocnych w zweryfikowaniu tej hipotezy. O działaniach swego oddziału w tamtym okresie pisze niewiele. Tylko tyle, że od połowy czerwca przemieszczali się po puszczy, atakując nieprzyjaciela i przerywając jego linie zaopatrzeniowe. W pamiętniku praktycznie brak też lokalnych nazw, gdyż autor będąc przybyszem nie orientował się zbyt dobrze w terenie.

Jednak w „raporcie” są co najmniej trzy punkty, z których każdy stanowi mocną poszlakę hipotezy, że chodzi o oddział Zaliwskiego. Pierwszym z nich jest zapis cytujący Naczelnika żołnierzy, „iż przybył z Warszawy walczyć za Wiarę, Ojczyznę i Wolność”. Jeśli to prawda, może chodzić tylko o pułkownika Zaliwskiego, gdyż innych wysłanników Rządu Narodowego na tym terenie nie było. Czy ewentualnie kapitan Żyliński mógł skłamać, chcąc dodać sobie powagi i splendoru? Zwróćmy również uwagę i na fakt, że z tekstu nie wynika jednoznacznie, iż Naczelnik i Kapitan to ta sama osoba. Kapitan mógł być oficerem Zaliwskiego, któremu ten zlecił przeprowadzenie werbunku.

Drugi argument wydaje się znacznie mniej oczywisty, choć uważam go za przesądający. Jak mamy rozumieć słowa księdza: „otoczony zostałem woicznymi ludźmi uzbroionymi. Przestraszy i zdziwienie moje ukończyły się, iż słysząc komenderówkę w tym samym języku, w jakim to piszę domyślić się wypadało, iż chcą asystować Wszechmocnemu w Sakramencie ukrytemu”. Dlaczego ksiądz wystraszył się przybyszów, a uspokoił dopiero wtedy, gdy usłyszał polską mowę? Gdyby chodziło o oddział kapitana Żylińskiego lub innych partyzantów, kwestia języka w ogóle nie

powstałaby w umyśle autora raportu. Przybysze ubrani by byli w stroje cywilne, myśliwskie lub podobne, zapewne w charakterze polskie, a co najmniej nie budzące podejrzeń, że ich właściciele są innej narodowości. Dlaczego w pierwszej chwili nie wiedział, o co przybyszom chodzi, nie przyszło mu do głowy, że obcy chcą uczestniczyć w procesji? Dopiero zaskoczony dźwiękiem polskiej mowy z ulgą uświadomił sobie, że to są katolicy, którzy przyszli do kościoła z pobudek religijnych. Znajduję jedno logiczne wytłumaczenie: wiadomo z innych źródeł, że oddział Zaliwskiego (lub znaczna jego część) był ubrany w moskiewskie mundury zdobyte wcześniej w kowieńskich magazynach. W świetle tego faktu dziwny z pozoru zapis nabiera konkretnego sensu. Czy w tej sytuacji ks. Andruszkiewicz nie mógł się przerazić widząc, że otaczają go rosyjscy żołnierze? Represje wobec Polaków i wobec polskiego kleru na naszych ziemiach wzmagały się w tym czasie.

Dbając o bezpieczeństwo parafii i własne ksiądz musiał donieść w miarę szczegółowo o wydarzeniu, nim to być może zrobi któryś z licznych uczestników odpustu, lecz nie chcąc pomagać w identyfikacji powstańczego oddziału, starał się podawać jak najmniej szczegółów. Znamienne jest, że nie podał żadnego nazwiska – a przynajmniej dowódca oddziału mówiąc o Warszawie zapewne się jednocześnie przedstawił, konspiracja nie była mu w tej sytuacji potrzebna.

Trzecim argumentem przemawiającym za tym, iż opisywane wydarzenia dotyczą „naszego” oddziału, jest pojawienie się księdza o świcie 25 czerwca na pobojuwisku. W parafialnej księdze zmarłych pisze on o wyjeździe do chorego i zatrzymaniu przez Rosjan w Sokołdzie. Zarówno pora jak i miejsce budzą wątpliwości. Dokądże jechał przez Sokołdę: do Supraśla? Surażkowa? To nie była jego parafia! Nowo odkryty raport może pomóc rozwikłać tę zagadkę. W Szudziałowie przyjmowano ochotników do oddziału. Cztery dni później oddział został rozбит. Dokąd mogli uciec wystraszeni, zapewne po raz pierwszy wachający proch, świeżo upieczeni powstańcy? Czyż nie do odległego o kilka kilometrów rodzinnego domu w Szudziałowie? A w razie gdyby ktoś poszukiwał niedobitków oddziału: oni nic nie wiedzą, oni od dawna nie

wychylali nosa poza opłotki wsi, rodzina i sąsiedzi poświadczą... Czy to nie oni zastukali nad ranem do okien plebanii? Przerażeni opowiedzieli księdzu o tym, co się stało pod Sokołdą. O tym, że na nadrzecznych łąkach, obok innych rannych, poległych i potopionych mogli zostać ich koledzy, tutejsi parafianie.

To, że natychmiast podążył tam, gdzie ludzie, rodacy poznani przed kilku dniami, mogli potrzebować kapłańskiej posługi, wystawia księdzu chlubne świadectwo. Gdy należało się asekurować, by nie narażać na represje siebie i innych – pisząc z pozoru „donosielski” raport, ksiądz to robił. Kiedy należało działać – ksiądz Andruszkiewicz działał.

Domniemana informacja od szudziałowskich ochotników to tylko poszlaka tłumacząca, skąd ksiądz mógł dowiedzieć się o bitwie, jednocześnie wspierająca hipotezę, że chodziło o oddział Zaliwskiego. Ta poszlaka zadziwiająco dobrze pasuje do odtwarzanej całości wydarzeń.

Jakie nowe informacje o losach „naszego” oddziału przynosi raport? Jeśli to „nasz” oddział (zgodnie z przedstawionym powyżej tokiem rozumowania jestem przekonany, że tak jest) poznajemy jeszcze jeden aspekt jego „odysei”. Oto na cztery dni przed feralną bitwą (raport datowany na 21 czerwca, zaczyna się od słów: „Na dzień dzisiejszy...”, co jest równoznaczne z podaniem daty wydarzenia) oddział Zaliwskiego wkracza do Szudziałowa. Jest dzień odpustu. We wsi prócz mieszkańców znajduje się wielu okolicznych włościan. Nie sądzę, by wkroczenie oddziału w tym właśnie dniu było przypadkiem. Wydaje się, że nawet będąc ściganym po klęsce wyprawy Giełguda, wycofując się do Warszawy, Zaliwski chciał nieść ogień powstania, zapał i nadzieję w okolicę, przez które przechodził. Bo jak inaczej wytłumaczyć nieracjonalne z punktu widzenia uciekającego i tropionego oddziału publiczne okazanie się masie ludzi, wśród których zapewne nie brakowało donosieli? Udział we mszy i procesji polskiego, choć częściowo ubranego w moskiewskie mundury, wojska, obrzęd błogosławienia broni, modlitwa za poległych oprócz pokrzepienia żołnierzy miały zapewne na celu zbudzenie ducha narodowego i ducha rewolucji. Przeprowadzony nabór ochotników również

nie był chyba korzystny dla oddziału kluczącego przed pościgiem. Zwiększenie liczebności o niewykształconych rekrutów raczej nie poprawiało jego siły bojowej, natomiast pogarszało mobilność i utrudniało przemieszczanie się. Mogło mieć natomiast znaczenie, oczywiście w małej, dla Powstania wręcz mikroskopijnej skali (o ile dowódca zdołałby ich doprowadzić do Warszawy).

Po procesji Zaliwski w zakrystii przedstawia się jako wystanik z Warszawy. Prosi o pobłogosławienie broni. Ksiądz Andruszkiewicz obawiając się takiej demonstracji ze względu na możliwe konsekwencje – wzbrania się. Można się domyślać, że w zakrystii dochodzi do ugody: będzie błogosławieństwo, ale potrzebny jest mały „teatryk”, by pokazać ewentualnym donosicielom, że ksiądz nie ma na to ochoty i działa pod przymusem. Obrzęd zostaje dopełniony, na wezwanie oficera lud odmawia modlitwę za poległych. Później Zaliwski prawdopodobnie udaje się, można się tego tylko domyślać, jako że tak zwykle się działo, do leżącego w niewielkiej odległości od Szudziałowa dworu w Słójce, zlecając swojemu oficerowi przeprowadzenie werbunku. Ksiądz proboszcz przezornie pozostaje na plebanii, by nie widzieć, „kto się zapisywał lub poszedł”.

Oddział opuszcza wieś, a ksiądz siada do pisania raportu, by ubiec donosicieli. Nie jest łatwo wybrnąć z sytuacji, gdy trzeba możliwie szeroko opisać wydarzenia, o których niezawodnie doniosą inni, a uczynić to tak, by dowieść lojalności swojej i parafian i zarazem nie zaszkodzić walczącym. I być może lękał się jakiegoś donosiciela, który też śpieszył się, by się wykazać. Kto pierwszy złoży meldunek, ten ma szansę zyskać większą wiarygodność. A ksiądz miał wiele do stracenia...

Opisuje, jak bronił się przed błogosławieniem powstańczego uzbrojenia, to znów fakt, że uległ, uzasadnia przekonaniem o daremności ceremoniału, bo przecież „iako zawsze Bóg w dobrej sprawie błogosławi zwycięskiemu orężowi rosyjskiemu”. To znów dzielnie broni się przed udostępnieniem oficerowi papieru i pióra, ale ten sam się obsługuje. A już wzmianka o tym, że nie dał powstańczym dowódcom obiadu, „a to aby ich głodem przymoczyć”, wzbudza mimo woli uśmiech.

Ksiądz prezentuje się z tej relacji jako prawowity mieszkaniec Północno-Zachodniego Kraju, szczerze oddany jego władzom i równie szczerze bojący się 'buntowników', na których donosi w szczegółach urzędnikom sądowym z Sokółki

Raport ks. jest świadectwem przezorności i dyplomacji, płynącej z konieczności lawirowania pomiędzy przymusem urzędowym a chęcią niezaszkodzenia powstańcom. Stanowi dowód mądrości, ukrywanej pod płaszczkiem udawanej naiwności i niemal gorliwości w chęci zdania sprawy zaborczej władzy, by uczynić zadość jej uzurpatorskim żądaniom. Należy go czytać a'rebours, jako przekaz tyleż w istocie zgodny z faktami, co umiejętnie pozorujący wiernopoddańczą postawę reprezentanta podbitego kraju.

Działania zbrojne w naszym regionie wówczas już zamierały. Rozpoczął się okres terroru, w wyniku którego m.in. pokasowano wszystkie klasztory katolickie, do Taganrogu zesłano ks. kapełana z Usnarza, Ferdynanda Kierbedzia. Skonfiskowano ogromne dobra Maciejewskich (Ostapkowszczyzna), Jundziłłów (Kudrycze, Liszki) etc.

Niestety, przykrą pamiątką pobytu polskiego wojska na tym terenie było przywleczenie cholery, która trafiła żołnierzy Zaliwskiego. Kilka dni po ich wizycie ksiądz odnotował w księdze pierwszy w Szudziałowie zgon na tę chorobę (w poprzedzających miesiącach wpisów o zgonach z tej przyczyny brak) – to kolejna poszlaka wskazująca na prawidłową identyfikację oddziału. W kolejnych dniach pojawiają się adnotacje o zgonach na cholere w kolejnych wsiach parafii, być może znacząc w ten sposób drogę przemarszu oddziału. Pojawiają się zgony m.in. w Wierzchlesiu i w Borkach. Na szczęście choroba nie nabrała charakteru masowej epidemii. Drobnym, choć w pewnym sensie nawet ujmującym świadectwem pobytu polskich żołnierzy na plebanii jest wygląd zapisów w księdze zmarłych dokonanych po 3 lipca. Przez kilkanaście kolejnych dni są one wizualnie odmienione: bledziutkie, anemiczne. Widać atrament też zabrali (o czym ksiądz nie wspomniał w raporcie) i jego resztki trzeba było rozcieńczać wodą nim ksiądz dokonał nowego zakupu.

Co robił oddział Zaliwskiego pomiędzy wizytą w Szudziałowie a feralnym dniem 25 czerwca? Chyba są tylko dwie możliwości. Powstańcy mogli przez kilka dni kluczyć po puszczy próbując zgubić ścigających ich Rosjan lub poszukiwać najdogodniejszego i najbezpieczniejszego przejścia przez rzekę Sokołdę. Mogli też po wyjściu z Szudziałowa założyć obóz w jakimś niedostępnym puszczańskim ostępie, by nieco odpocząć, podleczyć chorych i rannych, wstępnie przeszkolić ochotników lub zmylić pościg. Mogli też pójść na południe w kierunku Puszczy Białowieskiej, a po natknięciu się na zagradzające im drogę wojska rosyjskie cofnąć się do przeprawy w Sokołdzie. Ta ostatnia wersja tłumaczyłaby nadejście polskiego wojska od Borek, utrwalona w ludowym przekazie, o którym poniżej. Każda z wersji jest prawdopodobna, każda może pasować do przedstawionego w dalszej części zapisu ustnego przekazu o przemarszu oddziału. Tak czy inaczej, po czterech dniach od wizyty w Szudziałowie żołnierze Józefa Zaliwskiego znaleźli się w Sokołdzie, zaledwie 10 km od Szudziałowa. Tam dopełnił się ich los...

6 lipca (24 czerwca wg kalendarza juliańskiego) wieczorem oddział stanął na nocleg w Sokołdzie. Spaliwszy za sobą most (jeśli wierzyć ustnym przekazom), by zabezpieczyć się przed postępującymi za nimi Rosjanami, rozłożył się na nocleg. Nadszedł ranek 7 lipca.

Co zdarzyło się dalej, wiemy z przytoczonego wcześniej opisu ks. Andruszkiewicza. Ciekawa rzecz: jego notatka została sporządzona znacznie później niż opisywane wydarzenia. Jest to ostatni, grudniowy wpis w księdze za 1831 r. Dlaczego ksiądz tak długo nosił w pamięci, w sercu oglądane wydarzenia, by uwiecznić je dopiero pół roku później? Musiał troskliwie pielegnować to wspomnienie, skoro po kilku miesiącach podał dokładną datę i przebieg wydarzeń. Gdyby to była rzecz dla niego błaha, przypomniana sobie przypadkiem po upływie miesięcy, zapisałby zapewne: „latem..” albo „w połowie roku...” Zapewne ksiądz czuł, że porusza niebezpieczny temat. Odczekał pół roku, by tuż przed złożeniem zakończonego rocznika księgi do archiwum wpisać to, co leżało mu na sercu. Być może kierowała nim myśl, że w archiwum nikt już nie powinien jej wertować.

Czy ksiądz nie dowierzał trwałości pamięci i intencjom mieszkańców Sokołdy? Może obawiał się zwalczania przez władze rosyjskie wszelkich objawów czci oddawanej poległym? Tak czy inaczej, zapewne chciał utrwilić „na zawsze” pamięć o polskich żołnierzach, którzy zawitali do jego parafii w pierwszych dniach lipca 1831 r. Czy w tamtych czasach mogło być coś trwalszego niż pamięć zapisana w parafialnych księgach? Burzliwe wydarzenia przyszłości pokazały, jak złudne często były takie rachuby, lecz w tym przypadku los zrządził inaczej: list księdza Andruszkiewicza pisany w odległej przeszłości – tak naprawdę napisał go do nas, potomnych – dotarł do nas, udało mu się! Odebraliśmy przekaz. Kapsuła czasu... Coś na kształt butelki z listem niesionej falami oceanu przez niemal dwa stulecia... Proszę Księdza proboszcza: Serdeczne Bóg zapłać!

*

Kolejnym odkrytym przeze mnie dokumentem wiążącym się z opisywanymi wydarzeniami jest pozostający w rękopisie pamiętnik pochodzącego z Wielkopolski pułkownika Augustyna Brzeżańskiego. Autor już jako 17-letni młodzieniec wstąpił do armii Napoleona wkraczającej na nasze ziemie i wraz z nią przeszedł szlak bojowy, włącznie z wyprawą na Moskwę. Walczył pod Napoleonem do samego końca, a za zasługi wojenne został przedstawiony do odznaczenia złotym Krzyżem Legii Honorowej i awansu do stopnia podpułkownika. W 1831 r., jak wielu poznańczyków, poddanych pruskich, przeszedł nielegalnie granicę z Królestwem Polskim i tu stanął na czele walczącego w powstaniu szwadronu, a później pułku jazdy wielkopolskiej. Warto chyba dodać, że żołnierze ci wyekwipowali się na własny koszt. Brzeżański walczył w bitwach pod Grochovem, Wawrem, Dębem, Mińskiem, Rajgrodem. Uczestniczył w wyprawie korpusu gen. Giełguda na Litwę i tu właśnie zetknął go los z Zaliwskim. W pamiętniku poświęca mu pokazny ustęp. Píše Brzeżański:

„[Giełgud] tak dalece głowę stracił, że nie daje Zaliwskiemu, który był na jego prawem skrzydle, mając do 3000 ludzi, aby się cofnął. Lecz pomiarkowawszy Zaliwski, sam bez rozkazu, mając już prawie nieprzyjaciela wszędzie, zaczął się rejterować i pod ogniem armatnim most na rzece Wace zniszczył; dał też czas później Giełgudowi przeprowić się przez Wiliją. I tak Chłapowski z swoim korpusikiem pomaszerował traktem na Kowno, Giełgud, zniszczywszy most, do Janowa, a Zaliwski ku Trokom i przeszedłszy Niemen pod Mereczem, a nie mogąc przejść dla korpusów rosyjskich, będących w Augustowskim, poszedł ku Białowiezkiej puszczy na Janowo. W Sokółce [oczywiście: w Sokoldzie] na przeprawie przez rzeczkę Sokoldę, bardzo błotnistą, stracił prawie wszystko przez nieostrożność i niedołążność oficera od służby Kożuchowskiego, który miał wystawić widety w oddaleniu od wsi, a tego nie musiał uczynić [musiał tego nie uczynić]. Moskale żytami tak się podsunęli, że huzary rosyjskie naprzód zrobili szarżę do wsi, na piechotę polską stojącą przed wsią, której kompanią ten sam Kożuchowski komenderował, ci tak się zatrwożyli, że zostali rozbi-ci, a wtem piechota rossyjska zaczyna awansować na wieś i armaty które zaprowadzili, tyle zrządziły nieładu, że kawalerya, której było 3 kompletne, po 180 koni, szwadrony, rzuciła się w tę rzeczkę i tak konie powięzły, że most z nich prawie został zrobiony. Piechoty wiele natonęło i tylko kompania, która się była wpierw przeprowiła, ta cokolwiek wstrzymywała ogniem ręcznym nieprzyjaciela. I tak na tej przeprawie nieszczęśliwej stracił przeszło 2000 ludzi i kawaleryę na dzielnych koniach, a gdyby był wcześniej w marszu wysłał kawaleryę do szukania przeprawy, musieliby znaleźć, i jak się potem okazało, że o pół mili drogi był bród do przejścia, a przeszedłszy raz tę rzeczkę, byłby uszedł do Białowiezkiej puszczy, a ztamtąd był się już mógł dostać do Warszawy. Tak to ostrożność każdemu oficerowi, oddzielnie komenderującemu jest najpotrzebniejszą, bo chociaż myślał Zaliwski, że umaszerowawszy tego dnia do 7 mil drogi, nie będą mogli za nim zdążyć, lecz ci też nie zdążyli, ale mając go już na tropie, posłali do będącego wojska rosyjskiego w Grodnie i w Białymstoku, ażeby go przecinali, i ci go też atakowali w nocy na tej przeprawie, potem rozeszli się w małe oddziały po kilku. I tak do Warszawy przybył bez wojska, którego już miał 3000”.

Wydaje się wątpliwe, by Brzeżański spotkał się wówczas z Zaliwskim osobiście, jednak poświęca losom jego oddziału

całkiem spory ustęp pamiętnika, podając przy tym wiele szczegółów. Może to, choć nie musi, wskazywać na coś więcej niż przypadkowo zasłyszane opowieści. Czyżby w tym oddziale znalazł się ktoś ze znajomych Brzeżańskiego i stąd wynika zainteresowanie nim autora? Wiadomo z pamiętników, że oddział Zaliwskiego został przed wileńską bitwą wzmocniony kilkoma batalionami piechoty oraz dwoma szwadronami jazdy przekazanymi mu przez gen. Chłapowskiego. Potwierdza to odnaleziony podczas badania mogiły w Kopnej Górze jeden z nielicznych czytelnych guzików. Udało się na nim odczytać litery WK – Województwo Kaliskie (inaczej Jazda Kaliska). Możliwe, że wśród tych właśnie żołnierzy znalazł się ktoś znany autorowi pamiętnika.

Rozważania te są o tyle istotne, że w relacji Brzeżańskiego znajdujemy detale sugerujące pochodzenie ich od naocznego świadka. Taki charakter ma wzmianka o winnym nierozstawienia widet oficerze czy też o tym, jak to Rosjanie niezauważeni podeszli pod wieś skryci w życie. Od naocznego świadka musiała też zapewne pochodzić relacja o przedostaniu się przez rzekę jednego batalionu, który próbował osłaniać przepływających się za nim kolegów. Brzmi to bardzo konkretnie i wiarygodnie.

Największą nieścisłością zawartą w relacji wydaje się liczebność oddziału. Skąd Brzeżański wziął te liczby? 3000 ludzi to zdecydowanie za wiele jak na naszą wiedzę o wydarzeniach. Zaliwski pod Wilnem miał 1500 ludzi, z których po bitwie pozostało mu 1200. Czy mógł podwoić tę liczbę dezertarami oraz zbierając w czasie przemarszu ochotników? Sam dowódca nic o tym nie pisze w swoich wspomnieniach. Dalej, konsekwentnie, Brzeżański pisze o stracie 2000 ludzi oraz o kawalerii liczącej 3 szwadrony po 180 koni czyli ponad pół tysiąca żołnierzy. Ta ostatnia liczba mogłaby być prawdopodobna, jeśli chodzi o proporcje formacji w tym oddziale właśnie przy 3-tysięcznej liczebności oddziału, ale nie ok. tysiącosobowej, o jakiej wiemy. Wygląda to na ewidentne przekłamanie. Mogło być ono spowodowane np. próbą celowego wyolbrzymienia niepowodzenia Zaliwskiego przez jego wrogów i w tej formie zasłyszane przez Brzeżańskiego. Jednak autor kilkakrotnie podaje te liczby,

sprawiając wrażenie, że wie o czym pisze. Czyżbyśmy jeszcze o czymś nie wiedzieli?

*

W roku 2010 odnaleźliśmy mogiłę Powstańców Listopadowych, przywróciliśmy pamięć ich ofiary, staramy się o jej trwałe upamiętnienie. Przez 180 lat pozostawali bezimienni obok pomnika poświęconego ich potomnym z 1863 r. – kto wie, może potomnym nie tylko w sensie metaforycznym? Podjęliśmy próbę sprostowania zniekształconych przez czas faktów i przywrócenia pamięci o żołnierzach pułkownika Zaliwskiego. I to nam się udało.

Jednak w miarę poszerzania wiedzy na temat wydarzeń pod Sokołdą wzmaga się podejrzenie, że historia spłótła się w tym miejscu mocniej niż można było wcześniej przypuszczać. Czy walcząc o pamięć zapomnianych bohaterów bitwy pod Sokołdą, jednocześnie, nieświadomie, mogliśmy uczynić krzywdę powstańcom 1863 roku? Może zbyt pochopnie obarczyliśmy winą zawodną ludzką pamięć za przypisywanie wydarzeń militarnych z ubiegłego wieku tylko temu jednemu, wcześniejszemu zrywowi niepodległościowemu?

Z naukowego punktu widzenia trudno uznać za w pełni wiarygodną historię opartą wyłącznie na ustnych przekazach. Bywa z nimi różnie: niekiedy opowiadają o dawnych wydarzeniach z dokumentalną wręcz dokładnością, innym razem splatają w jedno nie mające ze sobą nic wspólnego wątki, kiedy indziej kanwą budzących uśmiech opowieści są zakopane skarby, „pułkowe kasy” czy zatopione uzbrojenie. Przy braku dokumentów -jak zweryfikować prawdziwość tych przekazów? Jakaś ich część na pewno opowiada o prawdziwych wydarzeniach, ale która to część? Zwodnicza może się okazać zarówno dokumentalna szczegółowość przekazu, jak i pozorną może być fantastyczność opowieści o zakopanym powstańczym skarbie. Jednak zawsze warto tych opowieści wysłuchać, dokładnie im się przyjrzeć i utrwalić je. Pomijając ich walor etnograficzny, w przyszłości

mogą okazać się cennym uzupełnieniem odnalezionych nowych dokumentów, może spisane z innych niezależnych źródeł opowieści lub istniejące a nieznane wcześniej pamiętniki kiedyś wykażą ich wiarygodność?

Przekazy niepoparte dokumentami bywają lekceważone. Przykładem na konieczność zachowania wstrzeźliwości w ich ocenie, nieodrzucaania bezwarunkowego, co zwykle czynią badacze, może być zanotowana w latach 70. ubiegłego wieku, odnosząca się do wydarzeń pod Sokołdą opowieść Aleksandra Wilczyńskiego z Woronicza. Utrwalona przez dziennikarza jako materiał etnograficzny nagle, w świetle dzisiejszej wiedzy, ukazała swą wartość historyczną. Nawet jeśli to wartość nie w skali ustaleń historycznych, wnoszących nowy element do stanu wiedzy, to jako przekaz z przeszłości mający walor emocjonalny, o tym, jak znane nam dawne wydarzenia wyglądały, widziane oczami prostych mieszkańców tej ziemi. Każdy taki okruch odzyskanej wiedzy jest cenny:

„To opowiadali, to opowiadali tak, że tu kiedyś od Borek (wieś Borki tam jest) no to osiem kilometry, to wszystko tutaj powstańcy byli do Sokołdy skierowane. I oni sli po czwórce. Po czterech ludzi. To jeden koniec był w Borkach, a drugi był w Sokołdzie. Ich siła wielka szła. To byli z całej Polski. To nie można powiedzieć, skąd oni byli, bo wszystko byli tak, jak ja panu mówię. Oni, prawda, jak sli, jak młodego człowieka złapali i od razu jego zabierali do swojej armii. I oni tak byli. To już nie można powiedzieć, skąd oni byli zmobilizowane. Jak oni [byli zmobilizowane]. Bo ta szlachta wtenczas była i wtenczas panowie. Toż to same – jak to powiedzieć – wyższa sfera była tutaj. Bo toż oni naprzeciwko temu państwu szli”.

Opowieść, wiązana pierwotnie z Powstaniem Styczniowym, skonfrontowana z wiedzą o jego realiach brzmiała zbyt fantastycznie, by traktować ją poważnie. Po dokonanej w ciągu kilku ostatnich lat mozolnej rekonstrukcji wydarzeń związanych z losami oddziału pułkownika Zaliwskiego nagle okazała się fragmentem świetnie pasującym do istniejącej układanki. Bo czy oddział Zaliwskiego liczący 1000-1200 żołnierzy, zapewne prowadzący mniejszy

lub większy tabor, nie mógł rozciągnąć się w forsownym marszu na odcinku kilku kilometrów? Znamienne jest zdanie mówiące o żołnierzach pochodzących z całej Polski. Wszak z Zaliwskim szli żołnierze, partyzanci a także cywile z Mazowsza, Kurpi, Wielkopolski, Puszczy Augustowskiej, Wilna... Byli w tej grupie żołnierze ubrani w polskie mundury, a także partyzanci ubrani w mundury rosyjskie zdobyte w kowieńskim magazynie, zapewne byli żołnierze Polacy służący w rosyjskich pułkach broniących Wilna. Prości chłopcy z Sokołdy mogli się nie znać na bardzo bogatym w owym czasie i zróżnicowanym wojskowym umundurowaniu oraz emblematkach (te zresztą mogły zostać zerwane przez polskich partyzantów – czego być może przykładem jest znaleziona nad rzeką blacha z rosyjskiej czapki starannie zgięta, zagnieciona ludzką ręką) – ważne było to, że wszyscy ci przybysze mówili po polsku, choć zapewne z różnym akcentem. Wszystko to mogło wzmacniać wrażenie przybycia polskiego wojska z najrozmaitszych stron dawnej Ojczyzny. Dzięki temu ich wizyta zapadła w pamięć tutejszych włościan na długie lata. Przytoczona opowieść stanowi piękne dopełnienie (liczę, że nie ostatnie) odtworzonej historii bitwy pod Sokołdą.

Istnieje inny jeszcze scenariusz mogący współgrać z przytoczoną opowieścią: jest nim przemarsz wojsk napoleońskich. To drugie pewne wydarzenie historyczne, do którego mogłaby nawiązywać przytoczona relacja. Jednak po bliższym przyjrzeniu się ten wariant wydaje się mało prawdopodobny. Wątpliwości można wypunktować w ten sposób:

1. Armia Napoleona była jednolicie umundurowana (w ramach pułków, rodzajów broni, przynależności państwowej) i musiała być przez ówczesnych świadków jednoznacznie kojarzona. Ponieważ przetrwały inne przekazy nawiązujące do przemarszu Wielkiej Armii przez nasze tereny, nie ma powodu przypuszczać, że akurat w Sokołdzie pomyłono ją z późniejszymi oddziałami powstańczymi.
2. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, by do Sokołdy zawiąły akurat polskie oddziały, które mimo swej liczebno-

ści stanowiły tylko mniejszościowy odsetek kilkuset tysięcy armii.

3. Opowieść o przemarszu jednoznacznie łączy przybycie polskiego wojska z bitwą, jaka miała się rozegrać pod Sokołdą. Oczywiście, ciągłość narracji o przemarszu i bitwie może być wtórnym połączeniem dwóch różnych opowieści, niemniej stanowi jakąś poszlakę. Nic też nie wiemy o bitwie pod Sokołdą z udziałem wojsk napoleońskich, brak też znalezisk materialnych o tym mówiących (choć notowano pojedyncze znaleziska z epoki w samej Sokołdzie i okolicy), nie znamy też żadnych przekazów ustnych nawiązujących treścią do takich wydarzeń.

Interesujący jest także dalszy ciąg opowieści Aleksandra Wilczyńskiego:

„No i na ten czas przeszli rzekę. Później kozaki dowiedzieli się, że tu... I rozdzielili się te kozaki na cztery części i z wszystkich czterech stron uderzyli na tych Polaków... tam w Sokołdzie. I one wtenczas skierowali do Supraśla. Stąd z tej strony do Białegostoku zajęli ich znowu nazad. A most był zerwany. Tu była głębina taka... że do jakich pięć czy sześć metry głębokości było w tej samej Sokołdzie wody.

I wtenczas to to wszystko bractwo runęło tu w te wody. I jedne po drugich szli później i ich tu straszna siła napakowała się w tej rzece.

Jak oni rozbili ich po częściach, to pochowali ich wszystkich pod Kopno Góro. Tam tera pomnik stoi. A wszystkich jeszcze nie dali rady chować, to powieźli jeszcze... taka jest „rozdwojona droga”. Tam od Łaźnisk – mała rzeczka – nazywa się Stoczek. I pod tym Stoczkiem ich tam dużo pochowali, tych samych Polaków. Było tam trzy krzyże postawione już w sześćdziesiąt trzecim roku. No, ale te krzyże teraz wszystkie zlikwidowane. Tam zupełnie nic – żadnego znaku nie ma”.

Co do tego fragmentu opowieści znacznie trudniej wyrobić sobie klarowny obraz wydarzeń, których ona dotyczy. Wiele wskazuje na zmieszanie wątków historycznych wydarzeń z możliwymi elementami konfabulacji. Dziś trudno ten węzeł rozsypać. Obecna wiedza na temat bitwy pod Sokołdą 7 lipca 1831 r. tylko w niektórych punktach jest zbieżna z przytoczoną relacją. Prawdą

jest, że oddział Zaliwskiego obozował po tej stronie rzeki, na której znajduje się wieś Sokołda. Prawdą jest, że Polacy uciekali przez rzekę, w której „jedne po drugich szli”. Prawdą jest też przekaz o pochówku części poległych w miejscu, gdzie „pomnik stoi”. Cała reszta opowieści budzi wątpliwości. Można je streścić następująco:

1. Jesteśmy w posiadaniu kilku mniej lub bardziej szczegółowych relacji pisanych o przebiegu bitwy 7 lipca 1831 r. – żadna z nich nie wspomina o rozdzieleniu atakujących oddziałów rosyjskich na cztery części. Mowa jest w nich natomiast o podejściu Rosjan „żytem” od strony Supraśla, o przedostaniu się jednej polskiej kompanii na drugi (domyślnie: nieatakowany od wschodu przez Rosjan) brzeg, skąd broniła ogniem towarzyszy próbujących pójść w jej ślady – to przeczy tezie o otoczeniu naszego wojska z czterech stron.
2. Wspomniana głębina na rzece jest obecnie starą, zarastającą zatoką, fragmentem starorzecza znajdującego się na północnej stronie mostu drogowego. Dotychczasowe pobitewne znaleziska wskazują, że główny ciężar walk spoczywał na południowej stronie grobli, w odległości od kilkudziesięciu do ok. 100 metrów od niej, co może sugerować, że Rosjanie wykorzystując zaskoczenie zajęli ją atakując jednocześnie z dwóch kierunków: od zachodu, od strony Supraśla, i od północy – z grobli. Przypisywanie zatem ważnej roli w opisywanych wydarzeniach wspomnianej zatoce budzi wątpliwości – znajdowałaby się ona poza obszarem działań. Niemniej znany jest mi przekaz mieszkańca Sokołdy, cytujący nieżyjącego świadka, o wyciąganiu z tejże zatoki wojskowych bagnatów, charakterystycznych ze względu na znaczną długość.
3. Zagadkowym elementem opowieści jest wskazanie miejsca pochówku części poległych. Dzięki przybliżonemu wskazaniu lokalizacji wydaje się możliwe odnalezienie tego miejsca przy użyciu georadaru. Nim jednak do tego dojdzie, wątpliwości rodzi przypisanie hipotetycznej mogiły konkretnym wydarzeniom historycznym. Zbyt mocno współgra ten element przekazu z inną opowieścią, przedstawioną poniżej. Splecenie w jedno dwóch historycznych wątków?

Obok betonowego pomnika znaleźliśmy w 2010 r. bezspornie żołnierzy z 1831 r. Czy aby na pewno w opisywanym miejscu kolejnego pochówku, miejscu „trzech krzyży”, leżą ich towarzysze?

*

Przytoczona poniżej relacja to tylko jedna opowieść, jeden świadek wiarygodnych według niego opowieści – nie wydarzeń. Nie ma ich zbyt wielu, bo wymarli już ci, którzy takie przekazane przez starszych opowieści pieczołowicie przechowywali w pamięci, często przez całe życie. Nie znaleźli słuchaczy wśród swych dzieci i wnuków, zaabsorbowanych telewizją, internetem. Jednak niedawno przekonałem się, że wciąż jeszcze nie przepadły wszystkie szanse na wysłuchanie z ust współcześnie żyjących wartościowych przekazów z dalekiej przeszłości, że wciąż żyją wśród nas ludzie pielęgnujący w pamięci przekazy rodziców i dziadków.

Wysłuchałem opowieści Pani Aleksandry Truszkowskiej, córki wspomnianego Aleksandra Wilczyńskiego. Pani Aleksandra, emerytowana nauczycielka, z radością i, takie miałem wrażenie, poczuciem wypełnienia swej misji wynikającej z przekazania pełnej i składającej się w logiczną całość opowieść, połączyła w długim łańcuchu pokoleń nasze czasy z tymi dawno minionymi.

Mam nieodparte wrażenie, że plastyczność jej opowieści, wierność detalom, a i niezachwiana wiara Pani Aleksandry w autentyczność tej historii oparta na wielkiej pewności ludzi, którzy ją jej powierzyli, że dokładnie tak właśnie było, wygrywają z naszym naturalnym sceptycyzmem. Powtarzała mi wielokrotnie z niezachwianą pewnością: tak było! Tak było – bo tak powtarzał jej przed laty ojciec znający tę historię od naocznego świadka – swego ojca. To samo, lecz widziane z nieco innej perspektywy, opowiedziała jej nieżyjąca już staruszka z Sokołdy – tak było! – tym kategorycznym stwierdzeniem zostały opatrzone te przekazy. Widząc tę wiarę w dokumentalną wierność opowieści, mimo wielu wątpliwości i pytań wiążących się z tą relacją, które na razie muszą pozostać bez odpowiedzi – po prostu: trudno nie uwierzyć w przeniesioną

do naszych czasów tę poruszającą opowieść. Pewność prawdziwości rodzinnego przekazu odróżnia go od innych relacji opowiadanych według schematu: „Ja tam nie wiem, nie znam się, ale dziadek opowiadał...” Opowiedziana relacja „od zawsze” miała brzmieć w ten sposób, a jej treść pozostawać niezmienną od półtora wieku i być uważaną za pewnik: po prostu tak było!

„Skąd znam tę historię? Przede wszystkim od mojego taty, a mój tatuś od dziadka swojego i od swojego ojca; a także od starszej pani Łazewskiej, która mieszkała koło szkoły w Sokołdzie. To była taka babcia, która przyjmowała porody, była samotna. Jej domek stał tam gdzie teraz stoi sklep. W 1963 roku pracowałam w szkole w Sokołdzie i z uczniami ze starszych klas przeprowadzaliśmy wywiady wśród starych ludzi. Najwięcej opowiedziała ta właśnie babcia Łazewska, no i mój tatuś. Ponieważ dziadek mój urodził się w roku 1863, a tata w 1888, tematyka rozmów, nawet domowych, była związana właśnie z okresem Powstania Styczniowego. [...]

[Powstańcy] doszli do wsi Sokołdy, tu chcieli odpocząć. Byli pokrwawieni, byli oblepieni błotem, szlamem, nic nie mieli ze sobą tylko jedną broń, nic kompletnie! Tak opowiadała babcia Łazewska .

Powstańcy mieli świeże rany, ociekali krwią, byli bardzo zmęczeni. Byli znużeni do tego stopnia, że po prostu upadali ze zmęczenia, nie mogli ustać na nogach. Chcieli odpocząć i tu, w Sokołdzie się zatrzymali. Już dalej iść nie mogli, byli u granic wytrzymałości: przemęczeni, głodni. Kiedy tu przyszli pod wieczór, to tych najbardziej poranionych umieścili w domach w Sokołdzie i prosili o opiekę, natomiast reszta rozlokowała się na łące między wsią Sokołda a rzeką. Palili ogniska – trzy albo cztery – bo dni wtedy były już gorące, ale noce jeszcze zimne, gotowali sobie do zjedzenia to co od ludzi dostali, przynajmniej wodę gorącą. Chcieli tu odpocząć, przynajmniej z grubsza, opatrzyć rany. No i chodzili po wsi i prosili u kobiet o prześcieradła, o tzw. płachty. Te płachty były lniane. Potrzebowali ich na opatrunki a oprócz tego zmywali z siebie błoto, brud, więc musieli się czymś wytrzeć, okryć, bo nie mieli nic z sobą tylko broń i to prawdopodobnie nie każdy tę broń miał.

Co się wydarzyło, kiedy ten oddział stacjonował w Sokołdzie? Przyszli prawdopodobnie wieczorem, w przeddzień tego pogromu późniejszego, albo w nocy. W Podsokołdzie był Żyd, nazywał się Jankiel, on miał sklep; ten dom stoi do dzisiaj, w tym sklepie można było wszystko

kupić „mydło, szydło i powidło”; ten Żyd jechał z rana do Szudziałowa, gdzie zaopatrywał się w towary. Przejeżdżał przez Sokołdę i widział, że tam się paliły jeszcze ogniska, widział powstańców, którzy byli tam przy ogniskach nad rzeką. Przyjechał do Klina. W Klinie zatrzymał go oddział Kozaków, którzy go zaczęli wypytywać czy nie widział powstańców, ponieważ tu gdzieś powstańcy muszą być. Zaczęli wypytywać Żyda czy on nie widział powstańców. On widział, ale początkowo wystraszył się i nic nie mówił. Kozacy zaczęli go tarmosić i zagrozili, że pojadą do Sokołdy i jeśli stwierdzą, że skłamał, to jego rozstrzelają, a rodzinę wyślą na Sybir. Żyd zląkł się i powiedział, że w Sokołdzie widział właśnie tych powstańców. No i wtedy kozacy (nie wiem co tam z nim zrobili) ale pojechali do Sokołdy. Do samej wsi nie dojechali: zatrzymali się w lesie, i doczekali do nocy. W nocy rozdzielili się na połowę. Część poszła przez Łażnie prawdopodobnie, w stronę Supraśla, część została w lesie od Kopnej Góry. I na rano zaatakowali tych powstańców, którzy się tego nie spodziewali.

W tym czasie prawdopodobnie nie było mostu, tego który teraz jest na Sokołdzie. Ale było przejście mniej więcej w tym miejscu, gdzie teraz jest zastawka. Tam była taka kładka, most, na tyle szeroki, że wóz na żelaznych kołach mógł po tej kładce przejechać. A ponieważ powstańcy myli się w tej rzece, obmywali brud, więc wiedzieli, że tam jest to przejście, że tamtędy mogą uciec.

Najpierw zaczęli strzelać kozacy od strony Supraśla, więc powstańcy myśleli, że to od Białegostoku przyszedł atak więc zaczęli uciekać w stronę Kopnej Góry. No i ponieważ tu było to przejście, więc się na nim skupili. A wtedy od strony Kopnej Góry zaatakowała druga część kozaków, wzięli ich w dwa ognie. Nabili bardzo dużo, tak mój tatuś opowiadał, a jemu dziadek opowiadał, że można było przejść suchą nogą po ciałach tych zabitych powstańców. Bo oni skupieni byli przede wszystkim przy tym przejściu.

Niektórym z powstańców udało się, mimo tego nasilonego ognia, uciec w stronę Woronicza. Uciekali po górze – jadąc do Woronicza po lewej stronie. Za nimi pojechali Kozacy. Dopędzili ich na górze w Woroniczu. Tak jak Tatuś mi mówił, jechali za nimi Kozacy i strzelali do nich w plecy tak jak do kaczek, jak do dzikiego zwierza. Wszystkich, którzy zostali zastrzeleni, nie pozwalali pochować. I dopiero pod osłoną nocy ludzie z Woronicza i Międzyrzecza zbierali tych zastrzelonych i chowali po prawej stronie góry woroniczkiej, tam gdzie stoi krzyż.

Natomiast ci, którzy zginęli w Sokołdzie podczas przeprawy, byli grzebani w nocy. Wywożono ich z Sokołdy do lasów i w lesie byli chowani. Nic o miejscu pochówku ani mój tata, ani babcia Łazewska nie mówili. Ale chowani byli nie zaraz, ale po trzech albo czterech dniach, kiedy kozacy odeszli. Bo część z nich pojechała jako eskorta dla odwożonych schwytanych, a część została, żeby zobaczyć, kto będzie tych zabitych, powieszonych zabierał, żeby wyciągnąć konsekwencje wobec rodziny. Dopiero gdy kozacy odjechali, ludzie zaczęli wyciągać tych pobitych z rzeki. Tatuś mi opowiadał, że przez te trzy dni woda w rzece była czerwona od krwi.

Ci natomiast, którzy ocalili, zostali spędzeni w miejsce między starą drogą – która prowadziła kiedyś ze składnicy do Sokołdy – a szosą, tam gdzie rosną te stare dęby. Tam spędzili pozostali przy życiu powstańców. Żądali, żeby powiedzieli, kto jest ich dowódcą. Powstańcy nie chcieli powiedzieć, wówczas, tak mi opowiadała babcia Łazewska, ustawili ich w szeregu. Podchodził dowódca kozacki i podawał każdemu z nich rękę. Ci, którzy mieli delikatne ręce, zostali odstawieni na bok i ci poszli na stryczek. Te dęby, które rosną w tej chwili, były świadkami tego, ale to nie na nich byli powieszeni dowódcy powstańców. Pamiętam, że kiedy byłam jeszcze 10-12-letnią dziewczynką, jeździliśmy z rodzicami do Supraśla, do kościoła. I nad tą drogą, która teraz biegnie jako ścieżka przez arboretum, rosły dwa lub trzy olbrzymie dęby. Miały olbrzymie konary, które nad tą wąską, wyżłobioną w ziemi drogą przechodziły na drugą stronę. I tam, na tych grubych konarach dokonano egzekucji. Tam właśnie powieszono tych powstańców. Dęby rosnące dziś w arboretum to nie są te same drzewa – one już wtedy były, ale jeszcze zbyt młode, by na nich dało się wieszać ludzi.

Później kozacy nakazali mieszkańcom Sokołdy, Podsokołdy, Woronicza, Międzyrzecza (z Łażni chyba nie) dać furmanki, dostarczyć powrozy, łańcuchy. Tu spędzili chłopów i tych ocalałych powstańców, niektórzy byli mocno ranni. Powiązali ich powrozami, łańcuchami, wsadzili na fury i wywieźli do Sokółki, a stamtąd kolejną do Rosji i dalej na Sybir...”

Drobnym uzupełnieniem tej (czy na pewno tej?) opowieści jest przekaz, jaki zapamiętał dawny nadleśniczy na tym terenie, p. Płotnicki, a który został mi przekazany przez p. Krzysztofa Wolframa. To drobny odprysk, jego treścią jest drobna scena.

Utkwiła w pamięci któregoś z mieszkańców Sokołdy i, przekazana dalej, dotarła do naszych czasów. Oto ranni powstańcy leżący po bitwie na sokołdzkiej łące, trapieni pragnieniem, usiłowali doczołgać się do brzegu rzeki, by napić się wody. Kozacy zabawiali się w okrutny sposób, kłując ich pikami, by odpędzić od rzeki. Jakże mocno działa na wyobraźnię ten obiektywnie nie wnoszący nic nowego do historii drobiazg!

Trudno ocenić, czy z przytoczoną relacją nie wiążą się dwie inne opowieści, które przytaczam z pamięci. Wydaje się, że mogą się one zazębiać i uzupełniać.

Pierwsza z nich, także od Aleksandry Truszkowskiej, mówi o przekazie ojca dotyczącym powstańczej bazy na wzgórzach po północnej stronie strumienia Woronicza. Jeśli nie odnosi się do opowieści o trzyletnim ukrywaniu się niedobitków z 1831 r. (o czym w dalszej części tekstu) można by ją połączyć z relacją przekazaną przez wnuczka dawnego leśniczego na tym terenie, p. Lenkiewicza. Opowiadał on o następującym wydarzeniu z roku 1863: Grupa powstańców otoczona przez Rosjan i zepchnięta na tzw. „szerokiej trybie” do bagiennych łąk strumienia Woronicza w pobliżu wsi Woronicze, zakopała broń i weszła w błotniste w tym miejscu koryto strumienia. Czy to oni, brnąc błotnistą doliną wyszli później na łąki pod Sokołdą? Czy mogło być tak, że powstańcza grupa wyparta przez rosyjską obławę ze wspomnianej wcześniej bazy na pobliskich wzgórzach, zapędzona w matnię, postanowiła się ratować przejściem przez błota doliny Woronicza? Zdrowa część oddziału mogła ją przejść i ujść w puszcę po drugiej stronie. Ranni i chorzy, nie mając szans na ucieczkę, mogli próbować przeczekać w bagnie rosyjską obławę, by następnie, poruszając się korytem strumienia Woronicza, a później Sokołdy, po 1-2 dniach wyjść na leżące stosunkowo niedaleko łąki. Ranni, wyczerpani, nie mieli sił, by pójść w bezpieczniejsze, bardziej dyskretne miejsce. Było im już obojętne, że obozują tuż obok uczęszczanego traktu, wystawieni na widok wszystkich przejeżdżających. Czy tak mogło być? Myślę, że tak. Czy tak było? – zapewne nigdy się nie dowiemy...

Podobną do przytoczonej wcześniej, mówiącej o bitwie, opowieści Aleksandra Wilczyńskiego (lecz -czy na pewno mówiącą o tych

samych wydarzeniach?) zanotował nieoceniony dokumentalista naszych stron, p. Wojciech Załęski:

„Pad Sakołdoju jak mietież był, był boj. Od Krynek kozaki nastupali. Polaki przeszli na ta strona, znaczy supraska i mosta spalili. Ale od Supraśla nastupało wojsko rossijskie. Ludzi haworac szczo ich z Supraśla... podprowadził. To oni na zad i dawaj bieriozki ciąg i na rzeka i po nich na druga strona. To ich nakładli tam, że ten co wyszedł na druhoju storonu, to po tych pobitych. A ktoroho schapili, to powiesili na dubie szczo do siech por za rekoiu staic. Tutejsze mahiłu im pastroili. A toho krzyża szczo zdies staic za sanacji nadleśniczy postawił.”

Nawet przy obecnym stanie wiedzy stajemy bezradni wobec możliwego splećcia w jedno różnych wydarzeń. Wydaje się, że elementy wielu opowieści zostały połączone w pamięci potomnych w jedną, na pozór spójną historię. Zbieżny w wielu punktach przebieg wydarzeń dziejących się w tym samym miejscu to prawdziwy węzeł gordyjski przy próbach ustalania historycznych faktów. Wiele elementów opowieści pasuje zarówno do wydarzeń będących udziałem żołnierzy pułkownika Zaliwskiego, jak i późniejszego niezidentyfikowanego oddziału powstańców 1863 roku. Ci ostatni weszli do wsi od strony Krynek co może potwierdzać relację o przemarszu ze wsi Borki (drogi te łączą się przed wsią). Rosjanie nadeszli nad ranem od strony Supraśla – zgadza się z wersją 1831 r., i nie wyklucza roku 1863 (Rosjanie się rozdzielili, by zaatakować z różnych stron). Przeprawa po trupach towarzyszy także w równym stopniu może dotyczyć obydwu wydarzeń. Natomiast oddział rosyjski atakujący od strony Krynek nie znajduje potwierdzenia w źródłach nt. roku 1831 – chyba że dziś jeszcze o czymś nie wiemy. Sześćdziesięciu powstańców wziętych do niewoli – w jednym przypadku wydaje się liczbą zaniżoną, w drugim – zawyżoną.

I jeszcze to niezwykle potwierdzenie w faktach fragmentu przytoczonej opowieści: według wiarygodnej relacji, odnaleziony niegdyś na pobojowisku na skraju starorzecza pałasz piechoty z 1831 roku spoczywał pod przykrywającym go bezpośrednio cien-

kim, brzoźowym pniakiem. A właściwie pod pustą już wewnątrz lecz idealnie zachowaną od 180 lat „wydmuszką” z brzoźowej kory. A więc jednak cięli te „bieriozki” by przedrzeć się przez błota Sokołdy!

Czy informacja o tym, że wielu z nich powieszono na dębach, na pewno dotyczy wydarzeń z 1863 r. lub – tylko tych wydarzeń? Podczas ekshumacji w 2010 r. powstańców listopadowych, mając na uwadze powtarzające się przekazy o powieszonych, zwracaliśmy wzmożoną uwagę na możliwość takiego faktu. Ten sposób zadania śmierci mogło sugerować ułożenie 2-3 szkieletów. Egzekucja na wziętych do niewoli z bronią w ręku cywilach byłaby zgodna carskim ukazem. Lecz do stwierdzenia, że powieszono sześćdziesięciu schwytych Polaków – daleka droga. A więc ten fragment opowieści dotyczy raczej 1863 r. A co do topienia broni w zatoce: mogli to robić jedni i drudzy, choć wydaje się, że w 1863 r. nie było specjalnie czego topić. Poza tym zachowany przekaz ustny jednoznacznie wskazuje na zatopioną broń powstańców listopadowych. Styczniowi nie mieli ze sobą dział:

„Koło mosta jak ich pobili, to kóten jeszcze żyw był to tę dubeltówkę do zatoki. Jak już widzą, że nie ma co, że już nie ma londu i zdać się trzeba, to te zbroje do zatoki, do wody.

Teraz tam nie ma wody, tylko mieścina [miejsce osuszone, K.L.] jest. Teraz poorali, porobili rowy. Tu wojowali. Z jednej strony żołnierze, z drugiej... Porzucali wszystkie zbrojenie, takie berdanki, co kurek bił po tym... Popatrzyli, co ich biorą do niewoli, to oni wszystko te kosy, te szabli, pistoliety – wszystko porzucali.

To kowal przed wojną tam mosiężną rurę znalazł. Mówili, że to ichnia armata była. Pociął ją na tulei do woza”.

Zagadkową opowieścią jest inny fragment zapisu pochodzący z tego samego źródła, utrwalającego słowa Aleksandra Wilczyńskiego. Zakładając jego prawdziwość – bo w jakim celu ludowy „opowiadacz” miałby wymyślać historie, w których nie ekscytuje się słuchacza liczbą zabitych, rzeką płynącej krwi lub zakopanymi skarbami? – znów stajemy przed dylematem: z jakimi wydarzeniami należy ją łączyć?

„To oni tenczas po lasach. To trzi lat byli tutaj. Trzi kilometri od tego miejsca. To oni trzi lat byli w lesie, te same ło, takie niedobitki. Tutaj ich żywili „leśne ludzie”. Już mniej więcej oni ich znali, oni tam mieli takie miejsca. Tam odchosili, podchodzili tutaj. Ale tak oni do wioski nie podchodzili, bo tak było bardzo srogo. Carat za to okropnie karał. Nawet i wieszał. Późnij niektórych połapali i powywozili do Sibirii. Tyle byli. Ze trzi lat tutaj chodzili po tych lasach. Biedactwo było okropne też – i brud jad, i wszystko. Bo coż on, inaczej, jak tylko pokażał się gdzie, ktoś zobaczył. I oni chodzili prosto prawie półnagie. Już te ludzie same im tutaj dawali i życie i odzieży nieraz. I to wszystko oni, tutaj biedactwo to chodziło. Oni tenczas byli w lesie”.

Znów trudno dziś jednoznacznie rozsądzić, o jakich czasach mówi opowieść. Jej wiarygodność w ogólnym zarysie wydaje się duża, bo szczegóły relacji mogły z biegiem lat ulec deformacji. Wiarygodna wydaje się hipoteza, iż dotyczy ona rozbitków z oddziału pułkownika Zaliwskiego. Powstanie 1863 r. miało w znacznym stopniu wymiar lokalny, a powstańcy działali przede wszystkim na rodzimym terenie przy wsparciu rodziny, powinowatych i przyjaciół. Z trudem przychodzi wyobrażenie o ukrywaniu się w okolicznych lasach, w przeciągu trzech lat, grupy powstańców z 1863 r. Wszak mogli próbować wrócić do domu – jeśli nawet nie do rodzinnego, to rodziny stryjów, wujów, kumów – te powiązania rodzinne mogły im zapewnić jeśli nie bezpieczne schronienie, to przynajmniej jakąkolwiek pomoc. Zasadnym wydaje się zatem przypuszczenie, że grupami powstańców ukrywającymi się w lesie przez kilka lat byli żołnierze pułkownika Zaliwskiego. Bo to oni, często prości ludzie, pochodzący z zachodnich dzielnic Polski, z Augustowskiego, Mazowsza, Wileńszczyzny, Kurpiowszczyzny mogli mieć problem z powrotem do domu. Nawet przy zorientowaniu geograficznym i wytyczeniu kierunku marszu przez wrogie (w sensie administracyjnym i wojskowym – nie etnicznym) terytorium istniało wielkie ryzyko pochwylenia przez Rosjan. Tym bardziej, że Białostoczyna była zapleczem carskiej armii – zaopatrzeniowym, szpitalnym i miejscem koncentracji przed wejściem na teren Królestwa Polskiego.

Nowym, ostatnio odkrytym i niezbadanym jeszcze odpryskiem opowiadanej historii może okazać się mogiła zlokalizowana pomiędzy wsiami Janowszczyzna i Jelenia Góra. Ustny przekaz wsparty zapisem w lokalnej kronice pochodzącej z lat 20-tych ubiegłego wieku datuje ją na okres wojny 1831 roku. Na zalesionym wzgórzu położonym obok Janowszczyzny miano pochować kilkudziesięciu żołnierzy Powstania Listopadowego. O ich pobycie w tym miejscu dowiedzieli się Rosjanie i po otoczeniu wzgórza – wybili. Czy mogła tam, nieopodal gościnnego dworu w Janowszczyźnie, zatrzymać się drobna część rozproszonego po bitwie pod Sokołdą oddziału pułkownika Zaliwskiego? To bardzo prawdopodobne. Tym bardziej, że pewną część tej formacji stanowili partyzanci z Puszczy Augustowskiej. Janowszczyzna leżąca na północ od Sokołdy mogła leżeć na trasie ich przemarszu w kierunku rodzimych stron. O innych pasujących do opisanej lokalizacji wydarzeniach z 1831 roku, jak dotąd, nic nie wiemy.

Aktórym wydarzeniom można przypisać poniższe dwie opowieści? W ich przypadku już chyba nigdy tego nie rozstrzygniemy:

„Jak ja orał na Imszarskich Górach, to rozorał mogiłka. Tam byli kości z rąk i nóg i jakieś klamry, guziki. I znalazł kuwshyna, taka buńka z korkiem smołą skocona. I ja go rozbił, tam jakieś papiery byli. Ale liche takie, podarte. Nic ja się nie rozczytał. To chyba był pochowany człowiek za mietieży”.

„Tam byli rozmaite ludzie z całej Polski, achotniki. I byli dwa studenty z Warszawy. Ale patrzą, że tu nic dobrego nie idzie, doszli, żeby uciekać. Ojciec opowiadał, ładne takie rosłe chłopce byli. Ale połapali ich i powieszali. Jednego powiesili i posadzili na nim świerka i drugiego...”

To ojciec woził mnie pokazywać te świerki. Takie duże powyrastały. To niedaleko, jakie dwa kilometry stąd. Ale już ich nie ma. Już je zrabali i na tartak powieźli. Nawet nie wiedzieli, że moglię ruszają”.

*

Zwykle jest tak, że im więcej informacji, więcej źródeł, tym łatwiej zbliżyć się do prawdy. A jednak bywa, że nowe materiały

potrafią wprowadzić do posiadanej już wiedzy zamiast uściśleń – jeszcze większe zagmatwanie. Przedstawiony poniżej fragment niepublikowanych wspomnień, spisanych przez Adama Bućkiewicza, jest tego przykładem. Autor jest człowiekiem o wysokiej wiarygodności: pochodzi z tych terenów (Zubowszczyzna), lekarz, autor cennych publikacji dotyczących życia włościan na Białostocczyźnie. Niestety, nie był świadkiem opisywanych wydarzeń związanych z działaniami partii powstańczych na Litwie w czasie Powstania Listopadowego (w tym czasie przebywał na studiach w Wilnie), lecz przedstawia je jako znane wszystkim w okolicy. Usłyszał je od osób sobie zaufanych, a ci raczej nie odważyliby się świadomie wprowadzać w błąd i opowiadać zmyślonych historii znajomemu, sąsiadowi, oraz, co też ważne, lekarzowi.

Czym jest przytoczona historia:

- zapomnianym dziś epizodem z okresu tworzenia partii powstańczych na Litwie wiosną roku 1831?
- opowieścią wymyśloną przez ludzi żyjących emocjami historycznej chwili i powtarzaną w dobrej wierze, czymś na kształt dzisiejszych „urban legends”, lub „wiarygodnych” opowieści z września 1939 r. o tym, że Anglicy już bombardują Berlin?
- a może jednak opowieść jest prawdziwa i wówczas mamy do czynienia z kolejnym pytaniem: czy opisana historia może stanowić brakujący wstęp do opowieści Aleksandry Truszkowskiej (mimo jej zapewnień, że ta dotyczy 1863 r.), czy może być rozwiązaniem zagadki – skąd się wzięli w Sokołdzie jacyś powstańcy, zabłoceni, poranieni i ociekający s w i e ż ą krwią, proszący o pomoc?

Idąc dalej tym tropem: czy to nie odmienne realia historyczne (w porównaniu z 1863 r.) były powodem, że ludzie ci nie obawiali się rozłożyć obozem obok uczęszczanego traktu i mostu, umieszczać swych rannych w wiejskich chatach leżących tuż przy nim? Czuli się względnie bezpiecznie wśród „swoich” (1831?) czy też byli tak wyczerpani i zobojętniali, że było im już wszystko jedno, co nastąpi i co się z nimi stanie (1863)? Ale włościanom nie powinno być wszystko jedno: to co uchodziło płazem wiosną 1831 r.,

ponad dwadzieścia lat później mogło nieść przerażające konsekwencje. Powtórzmy pytanie: czy wieśniacy w 1863 r. przyjmowaliby do chat rannych powstańców, pozwolili rozłożyć się przy wsi i udzielili im wszystkim pomocy w tak wyeksponowanym miejscu, w jakim znajduje się wieś Sokołda?! Pytania te dziś muszą zawisnąć w próżni.

A oto opowieść Adama Bućkiewicza:

„Zdarzyło się raz, że zabrał przesyłające się do armii cerkiew[ne] kosztowności na 15 000 rubli, ale – co większa – odebrał 2000 półimperiałów² w złocie. Zebrany łup chciał obrócić na utrzymanie partyzantów, lecz skoro nie miał stałego obozu, postanowił oddać pieniądze i cerkiewne rzeczy jakiemu poczciwemu na depozyt obywatelowi. W niewielkiej odległości, gdzie najdłużej obozował, znajdował się duży folwark, było to dominium ekonomii rządowej, gdzie w oficynie była kancelaria włościan z kilku wsi przynależnych do dominium. W kancelarii odbywały się rządy ekonomii i sądy włościańskie pod głównym zarządem dzierżawcy całej ekonomii. W folwarku tedy mieszkał dzierżawca M.Z., a w kancelarii zajmowali się pisaniem dwaj młodzi archiwiści, byli to szlachta zaściankowa, z małym wykształceniem biurowym; pan M.Z. dzierżawca prowadzący obszerne gospodarstwo. Poza folwarkiem przy lesie należącym do Puszczy Białostockiej, stał budynek mały, gdzie wprzódy mieszkał podleśny, ten przeniesiony został w inne miejsce, a budynek z mieszkaniem dla małej rodziny i ogrodem pozostał próżny. Przed rewolucją domek ten wynajął profesor emeryt, mający małą emeryturę i jakiś procencik od małego kapitaliku. Człowiek poczciwy, ale znudzony pracą nauczycielską postanowił żyć w ustroniu, nazywał się Małecki. Właśnie do niego przybył naczelnik partii pułkow[nik] Borejsza i prosił o przyjęcie w depozyt pieniędzy i aparatów cerkiewnych, warując, żeby częściami na potrzeby partii wydawał. Pan Małecki oświadczył, że mieszkając w odosobnieniu może być napadniętym przez złych ludzi, więc pieniędzy i kosztowności brać nie może ale radzi zlokować to wszystko panu M.Z. (...)”

² Półimperiał – dawna rosyjska moneta złota, równająca się pięciu rublom srebrnym

„[ludzie, u których złożono depozyt, postanowili obrócić go na własny] użytek, ale żeby pozbyć się Borejszy, bo ten będzie upominać się. Naprowadzić Moskali, do niczego dobrego tym sposobem dojść nie można, bo jak wyzna o cerkiewnych rzeczach, to Moskale odbiorą i zeszlą na Syberię; najlepiej będzie jego pozbawić życia. Ten projekt przyjęto i ci młodzi archiwiści biorą się do wykonania, przystają do partii, potem rzucają przed partyzantami podejrzenie, że Borejsza ma zamiar wydać partię uzarom, stojącym u w. księcia Konstantego w Brzostowicy, rozgłaszają, że wielki książe zaobiecował zrobić go pułkownikiem za oddanie partii. Kiedy taką potwarz w partii rozszerzyli, wówczas, dla udowodnienia wszystkim, śpiącemu Borejszy wkładają w zarękaw burki, w której robił wycieczki, kartkę niby od dowódcy uzarów mu doręczoną, na której wypisaną była po rusku obietnica wynagrodzenia i ranga pułkownika za zdanie się bez potyczki i oddanie w niewolę partyzantów. To dokonawszy, znaleźli uczestników do zrobienia przemocą rewizji rzeczy Borejszy, posądzonego o zdradę. Po dokonaniu rewizji pokazują kartkę znaną w zarękawiu Borejszy i w oczach partyzantów strzałem z pistoletu zabijają. Kiedy to dokonywają, umówieni uzary napadli, sprawcy zbrodni umknęli, a partia, obsaczona i pałaszami cięta, rzuciła się do ucieczki i przyparci do bystrej rzeki Sokołdy, przy przepławieniu tonęli jedni, a drudzy zdali się. Utoniętych naliczono do 500. Całą tę zdradę opowiedział mi Małecki, o dalszych wypadkach z panem M.Z. i dwóch archiwistach wiedziała całą publiczność żyjąca w byłym obwodzie białostockim, gdzie ta smutna scena dokonywała się”.

*

„[Przypis autora:] „Pan M.Z. oddał archiwistom aparata cerkiewne, a sam zaczął półimperiałowy szafować. Archiwiści udali się do Grodna, do Żydków, aby sprzedać cerkiewne kosztowności. Dostali niewielkie pieniądze, ale policja wysłodziła aparaty cerkiewne i je zabrano. Dowiedzieli się archiwiści o wykryciu i jeden zdołał uciec, a drugiego ujęto i osadzono w więzieniu w Grodnie. Śledztwo bardzo energicznie wykrywało całą zbrodnię. Uwięziony archiwista przyznał się i wskazał pana M.Z. jako głównego sprawcę. Ale p. M.Z. umiał sobie radzić: użył półimperiałów i oto archiwistę w ostrogu otruto, a p. M.Z. zwolniono. Sprawa ta panu M.Z. wyrwała dwa razy tyle pieniędzy, co Borejszy zabrał. Lecz i tego pana, oprócz publicznej wgardy,

jeszcze dotknął palec Boży: córka nagle umarła po wyjściu za mąż, a jego samego w 1864 Kozacy nahajami tak starca w 90 l[latach]zbili, że życiem zapłacił, nie zostawując dobrego wspomnienia.”

(A. Bućkiewicz *Obrazki Litwy w XIX stuleciu*)

Powstańcza nekropolia nad Sokołdą

Dwa miesiące po przeprowadzonej ekshumacji, 13 grudnia 2010 r., przyszedł czas na niezwykłą uroczystość. Pogrzeb czterdziestu sześciu żołnierzy Powstania Listopadowego, jaki odbył się w Supraślu, ma chyba w Polsce niewiele sobie podobnych wydarzeń. Długi rząd sosnowych niewielkich trumienek ustawionych przez środek kościoła, przez całą jego długość, w żołnierskim dwuszeregu. Na każdej z nich tabliczka: „Nieznany żołnierz. Poległ 7 lipca 1831 roku”. Honorowa asysta grup rekonstrukcyjnych w historycznych mundurach, grup Strzelców, współczesnego wojska. Po mszy szczątki poległych niesione przez Strzelców i harcerzy, w migającym świetle pochodni, wśród padającego gęstymi płatkami śniegu zostają odprowadzone na miejsce tymczasowego spoczynku: pięknej, cmentarnej kaplicy Buhholtzów. Jeszcze Apel Poległych, salwy z broni czarnoprochowej... Chyba nikt z obecnych w kościele i na cmentarzu w ten niepowtarzalny wieczór, po podniosłej i wzruszającej uroczystości nie zada już pytania: „A po co wy to robicie?”

Dzisiaj jeszcze szczątki poległych oczekują w kaplicy supraskiego cmentarza na podróż w ostatnią już drogę: na wojenny cmentarz u stóp Kopnej Góry, tuż obok pola bitwy i miejsca pierwotnego pochówku. Wszystko wskazuje na to, że ta chwila jest już bardzo bliska.

*

Na obszarze Puszczy Knyszyńskiej, szerzej: na Podlasiu można znaleźć wiele miejsc związanych z wojenną przeszłością kraju. Część z nich jest godnie upamiętniona, o istnieniu innych tylko

wiemy, a jeszcze inne, zapomniane dawno temu, dopiero czekają na swych odkrywców. Ogromna większość z nich nigdy się nie doczeka...

Z pewnością, nie ma potrzeby wypełniania otaczającej nas przestrzeni kolejnymi pomnikami, cmentarzami czy pamiątkowymi tablicami, co w oczywisty sposób byłoby nieracjonalne i nierealne. Jednak pojawiają się sytuacje, miejsca, gdy serce i rozum podpowiadają, że tu musi powstać taki pomnik, by w świadomości żyjących i dla pamięci przyszłych pokoleń zachować minione wydarzenia i ludzi – wydarzeń tych bohaterów. Do tej właśnie kategorii należy zaliczyć, nie tylko w mojej opinii, cmentarz wojenny, mający powstać pod Kopną Górą.

Dlaczego właśnie ci, którzy polegli pod Sokołdą w 1831 r. powinni zostać w ten sposób upamiętnieni? Przecież nie doczekały się właściwej i godnej oprawy nieporównanie większe pobojuwiska epoki Powstania Listopadowego: Olszynka Grochowska, Wawer, Ostrołęka.

Właśnie tu, w Kopnej Górze, mamy realną szansę, by takie przedsięwzięcie zrealizować. Znamy ogromne problemy kolegów z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego, próbujących przywrócić pamięci społecznej największą, najbardziej dramatyczną bitwę Powstania Listopadowego – Olszynkę Grochowską. Obszar ogromnego pobojuwiska – w części, w której nie został dotąd zabudowany urządzeniami kolejowymi: torowiskami, rozjazdami, halami wznoszonymi niekiedy wprost na wychodzących z ziemi kościach pochowanych w zbiorowych mogiłach żołnierzy – obecnie stanowi jedno wielkie wysypisko śmieci oraz miejsce wyprowadzania psów na spacer. Władze kolei, a także służby konserwatorskie: archeologiczne, przyrodnicze długo nie widziały potrzeby wydania zgody na podjęcie jakichkolwiek poszukiwań i choćby symbolicznego oznakowania mogił poległych tu tysięcy żołnierzy oraz odnalezienia ocalałych zabytków bitewnych, jakie mogła jeszcze przechować w tym miejscu ziemia. Niech więc Kopna Góra stanowi pośrednio wyraz hołdu złożonego nie tylko żołnierzom spod Sokołdy, lecz i poległym w innych miejscach Polski, o którą walczyli, a o pamięć których nie zadba-

no. Niech cmentarz kilkudziesięciu poległych będzie dla żołnierzy 1831 r. niczym warszawski Grób Nieznanego Żołnierza, kryjący szczątki tylko jednego człowieka, a będący symboliczną mogiłą wszystkich poległych za Ojczyznę.

Drugi argument wypływa po części z poprzedniego. Wydaje się, że dziś pamięć o Powstaniu Listopadowym w narodzie jest szczątkowa. Lepiej funkcjonuje pamięć o Powstaniu Styczniowym, które było tak traumatycznym przeżyciem dla Polaków, że w wielkim stopniu przykryło pamięć o wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. W niemałym stopniu przyczynił się do tego rozkwit polskiego malarstwa, od połowy wieku XIX. On to spowodował, że kiedy mówimy „Powstanie Styczniowe”, stają nam przed oczami obrazy Grottgera, Gierymskiego, Matejki. W literaturze utrwaliłi powstańcze obrazy Prus, Żeromski, Orzeszkowa. Listopadowe powstanie nie miało takiego szczęścia do artystów, których wizje zawładnęłyby do tego stopnia masową wyobraźnią. Szkoda, bo pod wieloma względami ten okres był czasem nieporównywalnej z innymi okresami historii chwały polskiego żołnierza, polskiego umiłowania wolności i patriotyzmu.

Włączony do Rosji jako Obwód Białostocki nasz region mógł tylko „przyglądać się” wydarzeniom dziejącym się za jego zachodnią granicą – w Królestwie Polskim. Należy dodać, że choć służył jako zaplecze armii rosyjskiej, tu też działały lokalne oddziały partyzanckie. Stąd, o ile na tych obszarach wiele jest przekazów rodzinnych odnoszących się do Powstania Styczniowego, o tyle wydaje się, że wcześniejsza wojna polsko-rosyjska jawi się na tym obszarze niemal jako biała plama. Pojawienie się więc w tym miejscu znacznego oddziału polskiej armii było zaskoczeniem, a jako jednorazowy incydent nie przyczyniło się do stworzenia legendy 1831 r. Biorąc to pod uwagę należy uznać, że utrwalenie pamięci Powstania Listopadowego, zwłaszcza w miejscu tak licznie odwiedzanym przez turystów jak Kopna Góra, ma do spełnienia wielką rolę edukacyjną.

Trzeci argument jest natury najbliższej nam, ludzkiej. Żołnierze pochowani w zbiorowej mogile pod Kopną Górą stali się częścią lokalnej historii. Nie jesteśmy w stanie zadbać o pamięć wszyst-

kich poległych w tej i innych wojnach. Możemy jednak zadbać o „naszych”. „Naszych” być może też w sensie dosłownym, bo w oddziale byli również ochotnicy przyjmowani w okolicznych wioskach, znajdujących się na trasie przemieszczającego się oddziału, np. Szudziałowie.

W ciągu kolejnych lat poszukiwań, krok po kroku zbliżając się do odnalezienia zapomnianej mogiły, odtwarzając – na podstawie rozproszonych archiwalnych zapisów – historię oddziału pułkownika Zaliwskiego, którego żołnierze zostali na zawsze pod Kopną Górą, mentalnie zbliżyliśmy się do nich na tyle blisko, że dziś zapewnienie im godnego żołnierskiego pochówku stało się naturalną konsekwencją wydarzeń, zaś odmówienie go byłoby dla nas po prostu nieludzkie.

O ile wcześniej zdarzało się nam słyszeć: „A po co się grzebiecie w tych starych kościach?”, „Ciekawe, ile to będzie kosztowało?”, „Zostawilibyście ich w spokoju, tyle lat tak leżeli, niech leżą dalej”, o tyle później ci, którzy uczestniczyli w pięknej ceremonii pogrzebowej i tymczasowego złożenia szczątków w supraskiej kaplicy nagle zaczęli mówić – jak wielkie wrażenie na nich ona wywarła, że zrozumieli, po co to wszystko było, że tak właśnie należało postąpić. Podobnie wielką, a może i większą rolę, biorąc pod uwagę zasięg medialny w postrzeganiu naszej sprawy, odegrał przedstawiający opisywane wydarzenia film dokumentalny nakręcony przez redaktora Adama Sikorskiego, autora popularnego wśród miłośników historii programu telewizyjnego „Było, nie minęło...”

Od odnalezienia mogiły, wykonania wkopu sondażowego, było dla nas oczywiste, że należy zrobić wszystko, by zapewnić odnalezionym żołnierzom godny pochówek. Sposób potraktowania pokonanych robił wstrząsające wrażenie: obdarto ich z odzieży, obrabowano i beładnie zwałono warstwami do dołu śmierci. Wrażenie potęgowały widoczne obrażenia stwierdzone u wielu poległych, sugerujące dobijanie rannych. Usytuowanie mogiły dziś okazało się poniżające i nie pozostawiało wyboru: położona w pasie „ziemi niczyjej”, w rowie pomiędzy nasypem szosy a płotem arboretum. Istniało też poważne przypuszczenie, na szczęście się nie potwierdziło, że część mogiły znajduje się pod

zosa, a kości innych zarasta zielsko – pielęgnowany był tylko obszar wokół postumentu. Tak się nie godziło. Przeniesienie kości tych żołnierzy uznaliśmy za nasz obowiązek.

*

Dopóki była tu mogiła pod górą, na rozstaju dróg, oznaczona i uświęcona wyciosanym chłopską ręką drewnianym krzyżem, można było uważać uhonorowanie jej za właściwe i wystarczające. Tak trwało przez wieki i nie było nic uwłaczającego w takim pochówku. Przeciwnie, umiejscowienie mogiły na rozstajnych drogach bywało nawet rodzajem przysługi oddanej zmarłym. Przed tym przydrożnym krzyżem w ciągu dziesiątków i setek lat zatrzymywali się podróżni, kupcy i okoliczni mieszkańcy, by się chociaż pożegnać, nim ruszą w dalszą podróż. Tak wielu ludzi „westchnienie do Boga” w intencji spoczywających pod krzyżem zmarłych i poległych musiało przecież wyrzucić, jak sądzono, wpływ na zbawienie ich dusz. Tak było od zawsze, od wieków. Zagubione wśród lasów i pól, oznakowane chylącym się ze starości omszałym, drewnianym krzyżem, mogiły naszych przodków budziły zapewne o wiele więcej patriotycznych, uskrzydlających serce i duszę, uczuć i emocji niż dzisiejsze uporządkowane cmentarze. Przypomnijmy sobie położony w lesie na nadniemeńskiej skarpie grób Jana i Cecylii, opisany w *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej. Jeszcze przed wojną, póki Grodzieńszczyzna znajdowała się w granicach Polski, organizowano tam regularne wycieczki. Naturalne otoczenie, zadbane, lecz nie zainscenizowane miejsce pochówku mówiły, że wszystko wygląda niemal tak, jak za składania zmarłych do grobu i tylko patyna czasu wprowadzała tu swoje zmiany.

Nastał jednak czas cywilizacji asfaltu i betonu. Drastyczna zmiana zaszła też w Kopnej Górze. Wybudowanie nowej, przecinającej górę, wyasfaltowanej „za komuny” drogi zepchnęło szczątki bohaterów w przydrożny rów. Nie ma tu już miejsca dla ciągnącego krętą, piaszczystą drogą konnego wozu, którego właściciel zatrzyma się na chwilę, by odmówić „zdrowaśkę” za

duże zmarłych, dając jednocześnie chwilę wytchnienia w leśnym cieniu zdrożonym koniom. Zginął kolejny, ważny element naszego krajobrazu...

Ten świat minął już bezpowrotnie, lecz jeszcze możemy coś zrobić, by nawiązać do dawnego klimatu takich miejsc. Projekt cmentarza autorstwa Pani profesor Jadwigi Szczykowskiej-Załęskiej, i samo usytuowanie nekropolii spowodują, że jej widok będzie znowu budził refleksję i modlitwę. Wytypowane miejsce to skarpa nad rzeczną doliną, znajdująca się obecnie na terenie Arboretum w Kopnej Górze, niemal na wprost pola bitwy i w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od dotychczasowego miejsca pochówku. Czterdzieści sześć nagrobków ustawionych na niewielkich tarasach, rozpiętych pomiędzy potężnymi, pomnikowymi dębami, spinający je centralnie monument, kolumna z orłem witająca odwiedzających: to wszystko będzie widoczne z daleka, już po minięciu wsi Sokołdy. To sprawia poruszający efekt. Trudno sobie wyobrazić, by widok ten nie skłonił większości podróżnych do zatrzymania się tu choćby na moment. Tablice pełniące funkcję edukacyjną przedstawią epizod powstańczy spod Sokołdy i całą wojnę polsko-rosyjską 1831 r. Chcemy, by odwiedzający cmentarz mogli dowiedzieć się nie tylko, kto tu spoczywa lecz w szerszym zakresie przypomnieć sobie (nie hasłowo) dzieje tego ogromnie ważnego w dziejach Polski wydarzenia, którym było Powstanie Listopadowe.